



### **3 Epidemie, które nawiedzały Wrocław**

Wrocław, jak zresztą każde wiekowe miasto, ma zdolność do przyciągania oblężeń i wojen. Przeżyło najazd Mongołów w 1241 roku (mimo że częściowo spłonęło), a potem oblężenie wojsk napoleońskich, którymi dowodził Hieronim, brat cesarza Bonapartego. Jakoś podźwignęło się po Festung Breslau, które było równoznaczne ze zniszczeniem większości wartościowej zabudowy. Jednak znacznie groźniejsze niż wojny między mocarstwami są te toczone między ludzkością a... zarazami.

### **7 Czas apokalipsy**

Jak jest, każdy widzi. Zapadły mroczne chwile, w których śmierć czeka na każdym rogu, ulice wyludniły się tak, że przypominają Londyn z „28 dni później”, a media zwyczajnie karmią się ludzką paniką. Brakuje jedynie gangu ghuli plądrujących bezkresną pustynię. Oto siedem prostych sposobów na przeżycie w czasie tej apokalipsy.

### **9 Eutanazja to kobieta**

Nie ma co ukrywać, Sardynia jest przepiękną, sielską wyspą. Wspaniałe góry, wiecznie zielone zarośla, błękitne morze i słońce, które nie daje za sobą zatęsknić - po prostu żyć, nie umierać! Ale co, jeżeli mimo to, ktoś jednak pragnie przekroczyć granicę łączącą nasz świat z krainą umarłych?

### **10 Najlepszy wśród najgorszych?**

Odkąd tylko pamiętasz, zawsze byłeś mistrzem w grze w szachy. Bez trudu byłeś w stanie pokonać każdego przeciwnika przy minimalnym wysiłku i jak najmniejszej liczbie ruchów.

### **20 Raper czy youtuber?**

Powiedzmy sobie szczerze, czy jest wśród nas ktoś, kto nie przegląda Facebooka, Instagrama czy Youtuba przynajmniej kilka razy dziennie? Prawdopodobnie nie, ale nie niesie to ze sobą samych minusów, jak niektórzy mogą twierdzić. W internecie kryje się mnóstwo ciekawych i pięknych rzeczy z najróżniejszych dziedzin, a także wielu ludzi chcących się nimi podzielić z całym światem. I właśnie temat tych ostatnich chciałbym dzisiaj poruszyć. A jako że piszę o muzyce, to zajmę się nikim innym, jak niektórymi członkami muzycznej społeczności, często niedocenianymi lub nierozpoznanymi, ale wnoszącymi do niej bardzo wiele.

### **22 Co ma głupi do sera?**

Siedzisz właśnie nad podręcznikiem od historii, trzymając zeszyt od fizyki w jednej ręce i połowicznie uzupełnione sprawozdanie z laboratorium w drugiej, przy okazji zezując na ekran komputera, na którym właśnie wyświetla się nowa wiadomość na Librusie.

### **23 York, dodo...i co jeszcze?**

Nie może być, ta chwila w końcu nadeszła! Przed Tobą ważny egzamin, od którego zależy ocena końcowa, Twoja przyszłość, a nawet losy świata! (a przynajmniej zawsze takie ma się wrażenie).

# Epidemie, które nawiedzały Wrocław

*Ptasie maski, Czarna Oława i kordon sanitarny*

Wrocław, jak zresztą każde wiekowe miasto, ma zdolność do przyciągania oblężeń i wojen. Przeżyło najazd Mongołów w 1241 roku (mimo że częściowo spłonęło), a potem oblężenie wojsk napoleońskich, którymi dowodził Hieronim, brat cesarza Bonapartego. Jakoś podźwignęło się po Festung Breslau, które było równoznaczne ze zniszczeniem większości wartościowej zabudowy. Jednak znacznie groźniejsze niż wojny między mocarstwami są te toczone między ludzkością a... zarazami.

## Mroki średniowiecznych miast

Każdy z nas ma swoje wyobrażenie o średniowiecznym mieście. Trubadurzy na ulicach, turnieje rycerskie, kramy w rynku. Jednak co do jednego każdy się zgodzi - w średniowiecznych miastach bardzo śmierdziało. I to wcale nie jest przesada.

W średniowieczu porzucono to, co do cywilizacji wnieśli starożytni Grecy i Rzymianie. Nie było mowy o korzystaniu z akweduktów albo rozwiniętej sieci kanalizacji. Zabudowa w średniowiecznym Wrocławiu z roku na rok robiła się coraz ciasniejsza. Ludzi przybywało, a wraz z nimi śmieci i nieczystości. Trzeba było sobie jakoś z tym poradzić. W centrum miasta (okolice Rynku i uniwersytetu) wybudowano niewielki system kanałów, które odprowadzały ścieki do Odry. Poza tym, gdy chodziło się wąskimi uliczkami, trzeba było mieć oczy dookoła głowy. Gospodynie często wylewały nieczystości z wiader na głowy przechodniów. Po bokach ulic umieszczano rynsztoki, w których czasem można było nawet utonąć. Nic dziwnego, że w śmierdzących, brudnych średniowiecznych miastach tak łatwo rozprzestrzeniała się dżuma.

Czarna śmierć kilkakrotnie nawiedzała Wrocław, mimo że nie zebrała w ówczesnej Polsce tak ogromnego żniwa jak np. we Włoszech. O tym, że nadodrzański gród również padł ofiarą dżumy, świadczy legenda o Bramie Kluskowej. Wspomina się w niej, że żona głównego bohatera była jedną z zabitych przez zarazę. Dżuma powracała wielokrotnie, również w kolejnych stuleciach. Nic nie pomagało palenie wielkich ognisk na środku miast, urządzenie procesji ani strzelanie z armat. Dżuma zadomowiła się w Europie jeszcze na wiele lat i doprowadziła do śmierci ok. jednej trzeciej populacji kontynentu.



## Ani stolica, ani królewska

Pod koniec XVIII wieku Wrocław odwiedzi-  
li Johann Wolfgang von Goethe oraz John Adams,  
przyszły prezydent Stanów Zjednoczonych. Obaj  
panowie byli zgodni co do jednego - Wrocław był na-  
dal porządnie zanieczyszczonym miastem. Działo  
się tak mimo dekretu Fryderyka II Wielkiego, który  
po przyłączeniu miasta do Prus w wyniku pierwszej  
wojny śląskiej, nakazał wysprzątanie „Królewsk-  
iej Stolicy”. Mimo wszystko miasto nie wyglądało  
ani na stolicę, ani tym bardziej królewską. Dopiero  
w XIX wieku, gdy wzrosła świadomość na temat hi-  
gieny i antyseptyki, rozporządzenia cesarza zaczęły  
przynosić skutki. Ale to nie oznacza, że Wrocław  
przestały nawiedzać epidemie. To był dopiero  
początek.

Po tym, jak w 1807 Hieronim Bonaparte zdo-  
był Wrocław, rozkazano wyburzyć wszystkie mury  
obronne miasta. W ten sposób zasypano pierwszą  
fosę, która otaczała zabudowania Starego Mias-  
ta. Wrocław gwałtownie się powiększył, bo przez  
zniszczenie dawnych fortyfikacji przyłączono do nie-  
go tak zwane przedmieścia (dlatego dziś używa się  
historycznych nazw: Przedmieście Oławskie, Świd-  
nickie czy Mikołajskie). Wyburzenie murów obron-  
nych miało dla Hieronima znaczenie propagandowe  
– wojskom napoleońskim nikt nie mógł się oprzeć.  
Wrocław znalazł się pod francuskim butem.  
Jednak po powiększeniu miasta pojawiły się nowe  
problemy. Przyłączone dzielnice cierpiały na ciągły  
niedostatek wody, bo ta była doprowadzana tylko  
na Starym Mieście i to nie do wszystkich domów  
(bezpośredni dostęp mieli tylko najbogatsi). Resz-  
ta mieszkańców musiała zadowolić się wspólnymi  
studniami.

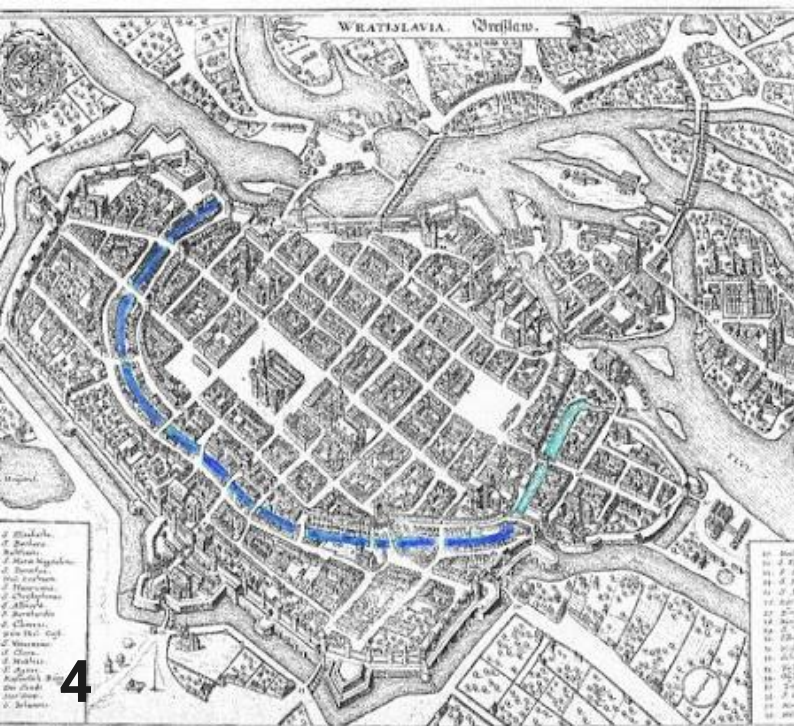
## Oławska przysługa

Wrocławianom przyszła na pomoc (a  
przynajmniej tak wtedy im się wydawało) pozos-  
tałość po dawnej miejskiej fosie. Była to Czarna Oł-  
wa, która leżała między starymi (wyburzonymi przed  
Napoleonem) a nowymi murami obronnymi. Przez  
rozwój miasta straciła znaczenie militarne i wykorzy-  
stywano ją kolejno jako: źródło napędzania młynów,  
miejsce do oczyszczania skór przez rzemieślników,  
mycia koni, spuszczenia ścieków, a na końcu czer-  
pania wody pitnej. Okolice Oławy Miejskiej były  
zamieszkałe przez największą miejską biedotę. To  
właśnie ona najczęściej korzystała z wód Czarnej  
Oławy.

W średniowieczu sytuacja Oławy Miejskiej  
nie była zła. Dopóki woda płynęła szybko, wszystk-  
ie nieczystości wpadały do Odry. Z czasem Czarna  
Oława zaczęła się zamulać. Rzeka stała się źródłem  
fetoru rozciągającego się na całe miasto, jednak na-  
jbiedniejsi wrocławianie tylko w niej widzieli ratunek  
podczas upałów. Sprawa korzystania z tamtejszej  
wody ciągnęła się aż do połowy XIX wieku.

Wiek XIX to czas nowej choroby, która  
atakowała nie tylko egzotyczne kolonie europejskich  
mocarstw. Dziesiątkowała również Amerykę Północ-  
ną i stary kontynent.

Cholera rozwija się u człowieka przez wypic-  
cie zanieczyszczonej wody. Łatwo się domyślić, czym  
w XIX wieku mogło skutkować czerpanie ścieków z  
Czarnej Oławy.



## Ostatnia szansa

W 1866 roku cholera postanowiła po raz trzeci uprzykrzyć życie wrocławianom. Ponownie wybuchła w dzielnicy biedy w okolicach Czarnej Oławy. Tym razem zmarło ponad 6,5 tysiąca osób. Dopiero czwarta epidemia w na przestrzeni kilku dekad zmusiła władze miasta do podjęcia bardziej radykalnych kroków. Postanowiono, że niebezpieczna odnoga rzeki – Oława Miejska – zostanie zamieniona w podziemny kanał, a nad nim powstanie nowa ulica. Czy razem ze zniknięciem Czarnej Oławy znikną wszystkie problemy?

Oława Miejska mimo wszystko łagodziła skutki braku rozwiniętej sieci wodociągowej w mieście. Wrocław nie dysponował dużą ilością studni – było ich niespełna dwadzieścia. Dlatego pojawił się nowy cel - należało jak najszybciej rozbudować system wodociągów. Pierwsze efekty prac widać było już w 1871 roku, gdy powstały zakłady „Na Grobli”. Wody miało już nigdy nie zabraknąć – w kolejnych latach budowano kolejne wieże ciśnienia, na przykład tę na Krzykach. Kiedy fale upałów nawiedzały miasto, ulice polewano wodą, aby je schłodzić.

Ze względu na częste epidemie we Wrocławiu rozbudowano sieć szpitali. W średniowieczu w mieście funkcjonowały domy chorych, jednak medycyna jeszcze przez długie lata miała stać w miejscu. Szpitale i przytułki prowadzili duchowni – we Wrocławiu byli to joannici, później też czerwono krzyżowcy.

Pierwszy wrocławski szpital z prawdziwego zdarzenia to Szpital Wszystkich Świętych z 1526 roku. On i włączony do niego później Szpital św. Hio-ba znajdowały się na Przedmieściu Mikołajskim. Budynek Allerheiligen przetrwał do dziś – są to gmachy niedziałającego już szpitala wojewódzkiego przy placu Jana Pawła II. Poza tym rozbudowano szpi-

tal ojców Bonifratów oraz „Bethanien”, czyli dawny szpital przy ul. Traugutta. Powstał również szpital dla inwalidów (podlegający Śląskiemu Krajowemu Zakładowi Ubezpieczeń) – dzisiejsze Dolnośląskie Centrum Onkologii. Mimo to, gdy nad Wrocławiem zawisło widmo kolejnej epidemii, żadnego z tych ośrodków nie użyto.

## Cień apokalipsy

*Variola vera* pojawiła się, gdy nikt się jej nie spodziewał. Trudno się dziwić, bo w 1963 roku trudno było uwierzyć w powrót ospy prawdziwej. W powojennej Polsce do tego roku wystąpiły tylko dwie mniejsze fale zachorowań, w 1953 roku i w 1962, w Gdańsku. Początkowo we Wrocławiu mylono ją z nawrotami wiatrówki. Jednak gdy rzekomy nawrót pojawił się u czteroletniego chłopca (który dopiero co wyzdrowiał z ospy wietrznej), lekarzom zapaliła się czerwona lampka. Coś było bardzo nie w porządku.

Czterolatek nie był pierwszym zakażonym. Chorobę do Wrocławia przywiózł ze sobą pracownik SB z pobytu w Indiach (jednak tę sprawę przemilczano). Hospitalizowano go jednak z podejrzeniem malarii. Zaraził jednak salową (przeszła chorobę bardzo łagodnie), a ta swojego syna i córkę, która była pierwszą ofiarą śmiertelną. Młoda kobieta zmarła z diagnozą białaczki o bardzo szybkim tempie rozwoju. Nikt nie podejrzewał, co w najbliższych tygodniach czeka miasto.

Jak się później okazało, salowa miała również kontakt z czteroletnim chłopcem i to ona go zaraziła. Gdy służby sanitarne zdały sobie sprawę, że mają do czynienia z ospą czarną, zaczęto wyłapywać potencjalnych zakażonych i odsyłać ich do izolatoriów za miastem. Utworzono je m. in. na Praczech Odrzańskich, w Szczodrem i na Psim Polu. W obawie przed możliwymi zakażeniami pacjentów zamknięto trzy wrocławskie szpitale.



## Wariaci w białych strojach

Brakowało sprzętu, miasto nie było przygotowane na apokalipsę. Dyrektor sanepidu, Jerzy Rodziewicz, jeździł nocą po wrocławskich szpitalach i kazał wydawać sobie rękawiczki, gumowce i fartuchy. Gdy napotykał opór ze strony szpitalnego personelu, któremu miał skonfiskować sprzęt, mówił: „*Dawaj pan, bom wariat i tak mi się podoba*”. Obowiązywała zasada, by nie mówić za dużo o zbliżającej się epidemii. Panika mogła wybuchnąć lada moment.

Dzięki nocnym napadom dyrektora na miejskie szpitale, udało się wyposażyć pracowników izolatoriów. Lekarze pełnym stroju, czyli wielkich okularach, białych fartuchach i chustach na twarzach wyglądali dosłownie jak medycy z czasów dżumy.

Lekarze zabierali ze sklepów wszystko to, co mogło się przydać do izolatoriów. Rozliczali się już po ospowym zamieszanu, bo wówczas nie myślano o pieniądzach. Brakowało też szczepionek – przylatywały one samolotami z ZSRR.

Wrocławianie żywili się plotkami o tajemniczym źródle zarazy. Nic dziwnego, bo partia przemilczała prawdziwą przyczynę wybuchu epidemii. Wizerunek władzy miał pozostać nienaruszony. Ludzie, którzy pamiętają zarazę z 1963, mówią, że wówczas mieszkańcy Wrocławia w

obliczu zagrożenia mimo wszystko umieli się zjednoczyć. Klamki i uchwyty obwiązywano szmatkami nasączonymi płynami dezynfekującymi, pojawiały się plakaty „Witamy się bez podawania rąk”.

Gdy chorych zaczęło przybywać, wprowadzono nakaz obowiązkowych szczepień, nawet gdy istniały przeciwwskazania. W rezultacie zaszczepiono 98 procent wrocławian. Jednak ospa czarna przedostała się poza miasto. Dotarła nawet do Opoli i Legnicy.

Wrocław został otoczony przez kordon sanitarny, a przepustką, która pozwalała wydostać się z miasta, był ślad po szczepieniu. WHO przewidywało, że epidemia ospy prawdziwej potrwa do dwóch lat i przyniesie około 2000 ofiar śmiertelnych. Jednak zarazę udało się opanować. Ognisko wygasło po 61 dniach. Zachorowało 99 osób. Zmarło 7.

Była to jedna z ostatnich epidemii ospy prawdziwej. Variola vera pojawiła się jeszcze w 1972 roku w Jugosławii i nigdy więcej nie wróciła. W 1980 roku WHO uznało ją za chorobę wyeliminowaną.

**MAŁGORZATA WIECZORKIEWICZ – 1 A**



# Czas apokalipsy

Jak jest, każdy widzi. Zapadły mroczne chwile, w których śmierć czeka na każdym rogu, ulice wyludniły się tak, że przypominają Londyn z „28 dni później”, a media zwyczajnie karmią się ludzką paniką. Brakuje jedynie gangu ghuli plądrujących bezkresną pustynię. Oto siedem prostych sposobów na przeżycie w czasie tej apokalipsy.

## 1. Zabarykaduj się wewnątrz domu

Zasuń żaluzje, wykorzystaj taśmę klejącą, gwoździe i deski. Jeśli pracujesz dorywczo w demobilu, zrób użytek ze starych min przeciwczołgowych. Skutecznie powstrzymają innych od wejścia i Ciebie od wyjścia. Po kwarantannie zwyczajnie zadzwoń po saperów, jeśli zapomnisz, gdzie je zakopałeś. Odwołaj wszystkie rezerwacje i domagaj się zwrotów za bilety. Rozłącz routery i telefon, na wypadek gdyby wirus opanowałby światową sieć telekomunikacyjną.

Wychodź jedynie po zakupy lub gdy dochodzisz do wniosku, że fajnie by było wyjść na zewnątrz. Ewentualnie, gdy skończyły się fajki i gorzała. Upewnij się też, że zgromadziłeś jedzenie na co najmniej kataklizm nuklearny, nawet jeśli miałyby to być jedynie ziarno. Ogranicz swoje racje żywnościowe do jednego groszku na posiłek.



## 2. Nie ufaj nikomu

Nie tylko dlatego, że nie wiadomo, jakie zarazki ktoś przenosi, ale też może być gliną w przebraniu. Bądź czujny, zwłaszcza gdy widzisz kogoś w płaszczu przeciwdeszczowym w słoneczny dzień. Każdy może być podejrzany: listonosz, sąsiad, cieć, brat, siostra, Ty sam. Jeśli zdecydowałeś się wyjść i widzisz, jak ktoś idzie w Twoim kierunku, nie ryzykuj tylko odwróć się i ucieknij z krzykiem, jakbyś ujrzał Teda Bundy'ego. Jakby doszło do rękoczynów, celuj zawsze w głowę. Jeśli ktoś Cię ugryzł na spacerze, zacznij składać już testament.

Jeśli jedynym Twoim kontaktem ze światem zewnątrz są media, zachowaj podwójną czujność. Nie zbliżaj się nawet do rządowych programów nauczania, bo w rzeczywistości jest to przykrywa pod tajny radziecki program kontrolowania umysłów. Filmy internetowe ogranicz jedynie do prostych abstrakcji, żeby mieć rozrywkę i rozkminy dla swojego umęczonego umysłu. Każdą przeczytaną książkę spal, by nikt inny nie mógł jej przeczytać.

## 3. Jeśli zapytają Ciebie, co o tym wszystkim sądzisz, spójrz im prosto w oczy

Nie zapytają się więcej.

## 4. Wystrzegaj się nagłego entuzjazmu i miłości

Każde z uczuć jest krótkotrwałe, ulotne i fałszywe. Dobrze jest w tych czasach zrobić porządek w Twojej książce kontaktowej. Masz po raz pierwszy okazję w spokoju i ciszy, obiektywnie ocenić, kogo warto a kogo nie warto zachować. Możesz wyprawić cichy pogrzeb wykreślonym znajomym. Za muzykę niech posłuży Ci Gustavo Santaolalla. Ostatnie pożegnanie ma być osobiste dla Ciebie, innych niech nie obchodzi. Nie zasłużyli, by uczestniczyć we własnym pożegnaniu. Jeśli ktoś obchodzi urodziny, napisz mu życzenia. Ale takie, jakbyś sam chciał dostać. Daj z siebie wszystko, podaruj mu korespondencyjnie własne serce na dłoni.

Powstrzymaj się od nagłych eksplozji uczucia, pozwól sobie na dużo skromniejsze, pełne oczekiwania i nadziei na lepszą przyszłość. Jeśli masz ochotę, możesz poeksperymentować ze swoją miłością, w szczególności gdy jesteście na siebie skazani przez najbliższe kilka miesięcy.

## 5. Nie mów ani nie rób niczego, czego inni nie będą w stanie zrozumieć

Najgłupsze pytanie na świecie: co poeta miał na myśli. Jeśli ktoś Cię zapyta, do czego nawiązywałeś kiedyś, zignoruj go. Może po prostu nie chce wiedzieć. W szczególności

należy wystrzegać się uprawiania sztuki. Ludzie zawsze będą zadawać pytania albo zinterpretują to inaczej niż byś chciał. Przywiąże Cię to do końca życia do jednego schematu, z którego się nie uwolnisz.

## 6. Dobieraj uważnie to, co przyswajasz

Jeśli zaczniesz uczyć się hebrajskiego, po pewnym czasie będziesz chciał czytać i pisać od prawej do lewej. Jeśli będziesz oglądał tylko „Tam gdzie rosną poziomki”, nie zrozumiesz karate i starożytnej sztuki łamania kręgosłupa językiem. Jeśli będziesz oglądał tylko filmy Michaela Baya, nie zrozumiesz, dlaczego łamanie innym kręgosłupa językiem to bardzo zły pomysł. Jeśli przeczytasz „Ulissesa”, nigdy nie znajdziesz przyjaciół, bo nikt normalny tego nie przeczytał. Jeśli przystąpisz do matury próbnej, następnego dnia możesz obudzić się w mokrym łóżku z ręką w wiadrze z wodą. Generalnie, łapiecie, o co chodzi.

## 7. Jeśli Ci każą spojrzeć na siebie, odwróć wzrok

Wystrzegaj się szczególnie luster!

**KACPER KOWALSKI – 3 A**



# Eutanazja to kobieta

Nie ma co ukrywać, Sardynia jest przepiękną, sielską wyspą. Wspaniałe góry, wiecznie zielone zarośla, błękitne morze i słońce, które nie daje za sobą zatęsknić - po prostu żyć, nie umierać! Ale co, jeżeli mimo to, ktoś jednak pragnie przekroczyć granicę łączącą nasz świat z krainą umarłych?

## **JEST PROBLEM, JEST I ROZWIĄZANIE!**

Życie Sardyńczyków nigdy nie było usłane różami. Przemieszczanie się po wyspie było trudne i bardzo czasochłonne, a otrzymanie pomocy medycznej stanowiło nie lada wyzwanie. Wobec tego, ludność postanowiła poradzić sobie sama. Symbolem tej niezależności stała się tajemnicza postać, ubrana na czarno, trzymająca w dłoni drewniany młotek i skrywająca swoją twarz przed oczami ciekawskich.

## **KTO SKRYWAŁ SIĘ POD MASKĄ?**

Femmina accabadora i sacerdotessa della morte to dwa imiona przywołujące jedną i tę samą osobę, „służebnicę śmierci”. Według jednej wersji, rola ta przypadać miała biednym wdowom, lecz mówi się także, iż specyficzny zawód w darze otrzymywały wszystkie dziewczynki w danej rodzinie i przechodził z matki na córkę. Jak było naprawdę, nie wiadomo. Mamy za to pewność, że femmina accabadora nie była oceniana przez mieszkańców Sardynii w sposób negatywny, a wręcz była kojarzona z litością i miłosierdziem.

## **NO DOBRA, DOBRA, ALE CO ROBIŁA TAKA ACCABADORA?**

Jej zadaniem było dokładne przeprowadzenie wywiadu z osobą, która twierdziła, że nie ma już dla niej miejsca w naszym świecie i upewnienie się, czy dusza takiego człowieka faktycznie gotowa jest do drogi. Niekiedy to rodzina niedoszłego zmarłego była odpowiedzialna za wezwanie wysłanniczki żniwiarza, gdyż nie była w stanie zajmować się dłużej schorowaną osobą i pragnęła, by ta jak najszybciej ich opuściła. Brzmi okrutnie, ale prawda jest taka, że na Sardynii nie starano się specjalnie ułatwiać życia starszym i chorym osobom. Nie licząc accabadory, panował tam również zwyczaj spychania siedemdziesięcioletków z klifu, ale to już jest temat na inną opowieść.

## **CO NA TO SACERDOTESSA?**

Po odbyciu stosownego wywiadu kobieta wyciągała swój młotek i pozbawiała „klienta” życia silnym ciosem w głowę, choć zdarzały się również podduszenia poduszką lub skręcenie ofierze karku. Po wykonaniu zadania, accabadora odbierała zapłatę. W zamian za „dobrze wykonaną pracę”,

otrzymywała ni mniej, ni więcej, ale świeżo upieczony chleb i niechętnie spojrzenia sąsiadów.

## **CO ZA NIEWDZIĘCZNOŚĆ!**

Zapłata w postaci chleba wiązała się z faktem, że działalność accabadory była przeciwna woli Kościoła katolickiego i, jak można się domyślić, nieco kontrowersyjna. Co ciekawe, nie znaleziono żadnego dowodu na jawny sprzeciw czołowych przedstawicieli sardyńskich chrześcijan wobec pracy mrocznych kobiet. Stanowiło to punkt wyjścia w dyskusji, czy przypadkiem accabadory nie są jedynie ożywioną, przez ludzi z bujną wyobraźnią, bajką opowiadaną, by wystraszyć dzieci. Stwierdzono jednak dowody na to, że służebnice śmierci działały jeszcze kilkadziesiąt lat temu, wobec czego milczenie kościoła jest jeszcze bardziej zaskakujące.

## **CZY TO FAKTYCZNIE JUŻ TYLKO WSPOMNIENIE?**

Nie istnieją żadne dowody na to, że zawód „tej, która doprowadza do końca” jest jeszcze praktykowany, ale prawda jest taka, że w niektórych z regionów Sardynii ludzkie życie niewiele zmieniło się od czasu okresu szczytowej działalności wysłanniczek śmierci. Występuje tam ogromne poszanowanie tradycji, nawet tych najbardziej niepokojących (w rodzaju jedzenia serca z pysznymi larwami i popijanie mirtą), więc możliwe, że accabadory dalej są tam mile widziane. Z oczywistych powodów, wszyscy jednak nabierają wody w usta, gdy rozmowa przenosi się na ów niewygodny temat.

## **BRZMI NIEREALISTYCZNIE?**

Nie dojdziemy do tego, jak było i jest w rzeczywistości, ale trudno pozostać obojętnym wobec wizji kobiet poświęcających całe swoje życie na to, by odbierać je innym, zwłaszcza za cenę czucia cudzej krwi na własnych rękach i niby przychylnego, a jednak zdystansowanego nastawienia najbliższego otoczenia.

**EMILIA RYNKIEWICZ – 1 A**

# Najlepszy wśród najgorszych?

Odkąd tylko pamiętasz, zawsze byłeś mistrzem w grze w szachy. Bez trudu byłeś w stanie pokonać każdego przeciwnika przy minimalnym wysiłku i jak najmniejszej liczbie ruchów.

Wszystko wydawało się być takie piękne i proste, a Ty od urodzenia postrzegałeś siebie jako kolejne wcielenie Wilhelma Steinitza, aż tu nagle Twój świat zatrzęsł się w posadach... Wróciłeś z pierwszego w życiu turnieju z nosem na kwintę i zaszczytnym pierwszym miejscem od końca. Okazało się, że nikt nie dał pokonać się na szewczyka ani nabrać się na widełki, a do tego ani jedna osoba nie przegrała z Tobą na czas! Jak to się w ogóle mogło stać?

## **CZEMU MATA NIE BYŁO?**

Pomyśl sobie, że zaczynasz uczyć się nowej rzeczy, przy czym w pełni zdajesz sobie sprawę ze swojego beznadziejnego poziomu (prawda boli) i masz świadomość, że wszystkim dookoła idzie lepiej, a Ciebie z pewnością będą wytykać palcami i nazywać beztalenciem. Pozostaje więc tylko zaszyć się głęboko pod kołdrą, słuchać smętnych piosenek o utraconych nadziejach i pisać melancholijne wiersze dotyczące hetmana zbitego w pierwszej minucie partii. Nie brzmi kusząco, prawda? Twój mózg uważa podobnie, więc stara się bronić Cię przed podobnym stanem, stosując ochronny kokon przed strachem i niepewnością, gdyż w przeciwnym razie w ogóle nie podnieśliśmy się z łóżka i nie wzięli udziału w tym szalenie ekscytującym spotkaniu koła gospodyń domowych, o którym zawsze marzyliśmy.

## **JESZCZE RAZ, CO TO ZA EFEKT?**

Jej zadaniem było dokładne przeprowadzenie efektu Krugera-Dunninga działa w dwie strony - powoduje przecenianie lub niedocenianie własnych możliwości i złożoności postawionych przed nami zadań. Zobrazowałam już efekt zbytnej pewności siebie na przykładzie początkującego szachisty, jednak spójrzmy teraz na efekt odwrotny, z którym mamy do czynienia na co dzień. Wielu uczniów naszej szkoły jest laureatami najróżniejszych olimpiad matematycznych, fizycznych oraz chemicznych i w ogóle wydaje się, że za co się nie zabiorą, to wszystko im wychodzi świetnie, podczas gdy niektórzy nie planują pozostawać na studiach na politechnice i przedmioty ściśle jawią się dla nich

jako czarna magia, chyba że przyswaja się je w formie wierszy. Okazuje się jednak, że wcale nie jest tak źle - porównując się ze średnią umiejętności innych szkół, które nie stawiają aż tak dużego nacisku na konkursy z tych przedmiotów i gdzie co drugi uczeń nie rozważa poglądów religijnych w oparciu o kwarki, możemy uchodzić za całkiem inteligentnych ludzi, którzy spokojnie dają sobie radę z matematyką.

## **IM WIĘCEJ WIESZ, TYM MNIEJ WIESZ**

I to dosłownie! Im mniejszą masz wiedzę na dany temat, tym większe jest Twoje przeświadczenie, że nie może on być specjalnie rozległy i po tygodniu nauki możesz mieć już wszystko w małym paluszku, a wręcz jego opuszkę. Osoby niekompetentne mają największą tendencję do przeceniania swoich kompetencji, podczas gdy eksperci w temacie często wolą nie zabierać głosu w dyskusji, gdyż znacznie pokorniej patrzą na zgromadzone przez siebie informacje.

## **A MÓWISZ MI O TYM, BO...?**

Wiedząc o tym, że padasz ofiarą efektu Krugera-Dunninga, możesz to wykorzystać w dwójnasób. Pierwszą metodą na wyciągnięcie czegoś z moich psychologicznych rozważań, jest wybudowanie sobie z tyłu głowy świadomości, że jeśli coś nam się wydaje łatwe, to prawdopodobnie jesteśmy dopiero na początku drogi i pozostają nam jeszcze godziny ćwiczeń i tysiące prób, które pozwolą nam osiągnąć mistrzostwo. Jest też inna droga - możesz skorzystać ze swojej kruchej pewności siebie oraz przeświadczenia, że kto, jak nie ty i działać! Możesz wziąć przykład z Króla Juliana, który zwykł powtarzać: "Zróbmy to, zanim dotrze do nas, że to bez sensu" czy "Głupota chroni", gdyż rzeczywiście coś w tym jest. Powołam się tu na słowa nieco większego od słynnego lemura myśliciela, który rzekł, że to zawsze głupi ludzie osiągają swoje cele - mądrzy są w stanie przewidzieć zbyt wiele przeszkód, by w ogóle zacząć.

**EMILIA RYNKIEWICZ – 1 A**

# Świat według Krzysztofa Oczywistka

Zaczął się ostatni rok szkolny dla naszego redaktora naczelnego. We wrześniu postawił sobie niezwykle ambitny cel: stworzyć najdoskonalsze i najbardziej oryginalne wydanie gazety szkolnej wszech czasów, z której czerpać by mogli wszyscy następcy.

## 25.09.2019

Pierwsze spotkanie zespołu redakcyjnego było czymś więcej niż jedynie omówieniem podstawowych rzeczy, zapoznaniem się zespołu, wyznaczeniem terminu i składu (zważywszy, że żadna z tych rzeczy się nie wydarzyła, bo według naczelnego są trzeciorzędne). To był symbol początku nowej drogi, nowej sztuki w dziedzinie dziennikarstwa szkolnego. Uroczystą przemową redaktor naczelny zmotywował wszystkich do pracy i wyznaczył jasne zadanie: zapisać się złotymi zgłoskami w historii dziennikarstwa szkolnego.

Nowi redaktorzy słuchali go z wielkim zainteresowaniem, wszak stanowili całą redakcję. Zastępcy po skończonej przemowie chcieli podjąć kilka ważnych tematów, jednak naczelny zbył ich, gdyż wszystko miał zaplanowane mimo braku doświadczenia. Cała redakcja wróciła o domów i od razu wzięła się do pracy, dając z siebie wszystko, wyrzesując iskry talentu literackiego.

## 05.10.2019

Pierwszy numer w tym roku został przyjęty znacznie mniej przychylnie niż naczelny zakładał. Złożono go jedynie z tych artykułów, które przeszły przez cenzurę szefa. Z kilkudziesięciu wysłanych, zaakceptowano jedynie dwa: relacji z corocznych rozgrywek brydżowych i felieton agroturystyczny. Początkowy zapał ostudził się jedynie przez chwilę. Postanowiono na następnym zebraniu, że wszyscy mają pracować szybciej, mocniej, lepiej.

## 10.11.2019

W boksie dziennikarskim, mimo wolnej niedzieli, praca wrzała od nieustannego pisania i poprawiania. Szef co godzinę przerywał własny tekst, by przejść się i skontrolować wycpiny in-

nych. Przerwy do toalety i jedzenie zostały jak na razie wstrzymane. Podobnie jak rozmowy, picie, a w pewnych chwilach nawet głośne oddychanie. Telefony i komputery zostały skonfiskowane, wszystko odbywało się na maszynach. Teksty zaakceptowane mogły iść dalej. Nieprzepuszczone należało przepisać raz jeszcze, nawet i po osiemdziesiąt razy. Nikt nie sprzeciwił się pod groźbą wydalenia z zespołu. Wśród redaktorów panowało tak gęste napięcie, że można je było pokroić nożem.

## 10.11.2019

W boksie dziennikarskim, mimo wolnej niedzieli, praca wrzała od nieustannego pisania i poprawiania. Szef co godzinę przerywał własny tekst, by przejść się i skontrolować wycpiny innych. Przerwy do toalety i jedzenie zostały jak na razie wstrzymane. Podobnie jak rozmowy, picie, a w pewnych chwilach nawet głośne oddychanie. Telefony i komputery zostały skonfiskowane, wszystko odbywało się na maszynach. Teksty zaakceptowane mogły iść dalej. Nieprzepuszczone należało przepisać raz jeszcze, nawet i po osiemdziesiąt razy. Nikt nie sprzeciwił się pod groźbą wydalenia z zespołu. Wśród redaktorów panowało tak gęste napięcie, że można je było pokroić nożem.

## 11.11.2019

Po ciężkim weekendzie całe ciało redakcyjne jest już zmęczone. Jeden z zastępców aż odchodził od zmysłów i stracił czucie w palcach od nieprzerwanego pisania i poprawek. Praca nie zhańbiła jednak nikogo, wykreowany w ten sposób numer przeszedł do historii jako najbardziej złożony, inteligentny i niedoceniony. Nikt bowiem w dniu wydania nie zwrócił na niego uwagi.

## 24.12.2019

Przerwa świąteczna dla wielu jest czasem odpoczynku i zabawy z rodziną. Dla nas nie. Przez cały czas pracowaliśmy w boksie redakcyjnym nad kolejnymi próbami.

Po kilku dniach redakcja (bez redaktora naczelnego) uznała, żeby „dać sobie siana”. Korzystając z chwilowego załamania nerwowego redaktora, wykorzystwała starą jak świat sztuczkę z pokojem z małpami i artykuły poszły same.

Powstały dwa wydania styczniowe, jedno prawdziwe, dobre, złożone jedynie z tekstów redakcji i wydanie „małpie”, które otrzymał jedynie redaktor naczelny. Nad tym nie będziemy się długo rozwodzić.

## 14.01.2020

Związku z sukcesem styczniowego wydania została zwołana narada śródroczna dotycząca przyszłości. Ustalono sukcesję dotyczącą stanowiska naczelnego. Rozmowa na temat papierowego wydania została zakończona szybkim stwierdzeniem, że Rada Rodziców nie ma na to pieniędzy. Kwestie składu, terminów deadline'ów i tematyki zostały przesunięte na inny termin, bo były ważniejsze sprawy. Redaktor naczelny po raz kolejny chciał wygłosić motywującą przemowę w stylu Jordana Belforda, ale w trakcie zasłabł i trzeba go było zawieźć do lekarza. Niektórzy jednak widzieli, jak uzgadniał z paroma redaktorami całą inscenizację zasłabnięcia. Prawdopodobnie chciał w ten sposób wzbudzić współczucie u innych.

Nadal nie ustalono, jak ma wyglądać ten najlepszy numer. Mówi się coś o lutym. Prawdopodobnie spotkamy się z kolejnymi przesunięciami. Prace jednak wciąż trwają, tak się przynajmniej zarzeka naczelny.

## 31.02.2020

Technicznie rzecz biorąc, powinien to być drugi marca, ale szef nie uparł się, żeby dalej był to luty, gdyż niemożliwe według niego było to, że jeden miesiąc ma tylko 28 dni (w tym roku 29).

Ten dzień zaczął się dość gwałtownie. Redaktor naczelny nawrzeszczał na obu swoich zastępców. Zaczęło od tego, że on sam nie dotrzymuje terminów, pisze nijako (ostatnio), brak mu podstawowego wykształcenia (podobno ma plecy w kuratorium) i jest praktycznie beztalenciem o dwa stopnie wyżej od analfabety. Po pierwsze, redaktor zawsze uważał, że są to u niego same zalety, a jego twórczość zyskuje jedynie ładunek naturalizmu. Po drugie, takimi właśnie inwektywami obrzucił każdego z zastępców, mieszając ich dodatkowo z błotem (globalne ocieplenie skutkuje deszczowymi zimami) i kazał się nie pojawiać przed nim. Gdy dwa tygodnie później usiłował się z nimi porozumieć, oboje go zwyczajnie zignorowali.

Zastępcy odmówili mi komentarza i kazali, żebym usunął wszelkie rozmowy z nimi. Od siebie

dodam jedynie tyle, że najwidoczniej przestali się przejmować tym wszystkim i każde z nich skupiło się na własnym życiu, kolegach, planach o wiele ważniejszych niż gazetka szkolna, która w gruncie rzeczy nie jest niczym innym jak tylko... gazetką szkolną.

W przygotowaniu jest numer specjalny, który prawdopodobnie nigdy nie ujrzy światła dziennego, jeśli ten koronawirus będzie dalej się rozwijać w takim tempie. Wszyscy jednak ignorują moje ostrzeżenia.

Przed nami ostatnie numery, redaktor naczelny postanawia sam napisać jeden z nich jak tzw. „tribute”. Prof. Walczak niechętnie się zgadza na to. „To bardzo ryzykowne. Przed tobą matury i powinienes się na nich skupić”. Redaktor oznajmia jednak, że ma je w głębokim poważaniu (wynikało tak z kontekstu, bo ciężko cokolwiek było zrozumieć z jego wypowiedzi).

## 02.04.2020

W boksie dziennikarskim, mimo wolnej niedzieli Redaktor naczelny, po oblaniu próbnej matury, otrzymał wiadomość od profesora Walczaka, z prośbą o zaległe artykuły. Załamany wydzwaniał od rana do mnie, prosząc o pomoc, ewentualnie o bycie autorem widmem. Nie zwracając uwagi na przepisy bezpieczeństwa, pojechałem do niego. Miał to szczęście, że mieszkał sam, więc zarazić mogłem jedynie jego.

Gdy otworzył mi drzwi, aż mnie zamurowało. Nieogolony, z długimi włosami, na skraju załamania nerwowego. Przynajmniej deklarował się jako abstynent. Przejrzeliśmy twardy dysk jego komputera. Jak się okazało, żaden z kilkuset tysięcy tekstów nie nadawał się do publikacji. Każdy przypominał robotę osoby niepoczytalnej. Jeden z nich składał się z ciągów przypadkowych znaków zajmujących ponad dwa tysiące stron. Inny był mroczną fantazją na temat sześćsetnego odcinka „Inspektora czasoprzestrzeni”.

Gdy wróciłem do siebie= po siedmiu prawie godzinach mozolnej pracy, zdecydowałem, że całą dokumentację spisana na przestrzeni tego roku szkolnego połączę w jeden długi tekst i prześlę go w imieniu autora profesorowi. Ostatecznie, jego wielkie dzieło ma jeszcze czas by dojrzeć. Każde wydanie gazety ma to do siebie, że jest w jakiś sposób zależne od poprzednich i następnych. Jedyne, do czego można dążyć, to żeby były od siebie różne. Nie wiem, w czym ten numer będzie inny, ale historia przedstawiona przeze mnie może okazać się jedną z najbardziej intrygujących i osobliwych, jakie wydarzyły się w naszej szkole.

Nasz redaktor naczelny nie jest najlepszym człowiekiem. Jego obsesja kontrolowania całego otoczenia bywa uciążliwa, podobnie jak jego natręctwa i egoizm.

Oczekuje wiele od innych, ale sam nie chce dawać. Nie wiem, co uważają o nim inni, prawdopodobnie jestem ostatnią osobą, która powinna się na ten temat wypowiadać, ale w głębi serca wierzę, że kiedyś zrozumie i dojrzeje. Codziennie uczymy się czegoś nowego i musimy mieć siłę, by przekraczać progi w naszym życiu. Być może nasz redaktor w swoim czasie będzie w stanie postawić krok dalej.

## **PS**

Po napisaniu ostatniego egzaminu maturalnego nasz redaktor naczelny zaprosił wszystkich na falafele. Zmarł 24 minuty później na zawał serca.

## **Nota od redakcji:**

Niniejszy artykuł jest czystą fantazją autora na temat rzeczywistości. Żadne z powyższych wydarzeń nie miało miejsca, opisane osoby są całkowicie inne albo nie istnieją. Przepraszamy za wszelkie błędy oraz możliwe zniesławienia, autor winny powyższego artykułu już dawno nie pisze do nas oraz wywalono go ze szkoły bez możliwości dalszego kontynuowania edukacji. Życzymy przyjemnej lektury dalszej części gazety.



# Dziadek i wnuczek – układ doskonały

Raz, dwa, trzy. Wstęga została przecięta pośród wiwatów, okrzyków i oklasków tłumów zgromadzonych przy Schweidnitzerstrasse. Pogoda, jak przystało na początek września, była piękna. W sam raz na odsłanianie pomników przez samego cesarza. Spojrzył w górę. Teraz i oni mieli swojego jeźdźca z brązu, tak samo jak Rosjanie pod berłem Mikołaja II mieli pomnik Piotra I Wielkiego. Cesarz wiedział, że gdyby nie właśnie ten breslauerski jeździec z brązu, nie byłoby tych wszystkich uroczystości. I nie byłoby tej tradycji. Od tej pory pomnik Wilhelma I Hohenzollerna miał bacznie obserwować główną ulicę miasta, podczas gdy wnuk – Wilhelm II – będzie przebywał w Berlinie.

## Wyjść do ludzi

Pod koniec XIX wieku rozrywka dla mas nie była zbyt różnorodna. Nie wykonywano tak często pokazowych wyroków, nie przykuwano złodziejasków do pręgierzy. Nowożytny igrzyska olimpijskie dopiero raczkowały, a dostęp do kultury miały tylko wyższe klasy. Jedyne momenty, gdy robotnicy i biedni mieszczaństwo mieli jakąś okazję do urozmaicenia sobie życia, wiązały się z monarchią. W najlepszej sytuacji znajdowali się mieszkańcy stolicy, którzy mieli bezpośredni dostęp do parad, przemówień i mszy z udziałem głów państwa. Szczególne uroczystości i zabawy były organizowane z okazji koronacji i ślubów w rodzinie królewskiej, ale na takie okazje ludzie musieli zwykle długo czekać. Poza tym aprobatą najprostszych ludzi była władcom na rękę.

Zupełnie inaczej było na prowincjach, gdzie codziennie jedynym źródłem informacji i „kontaktem” z królem albo cesarzem były gazety. Członkowie niższych warstw społecznych rzadko kiedy mieli możliwość udania się w podróż do stolicy państwa, więc przez to nie mogli wyrobić sobie opinii na temat władcy. Wiedzę opierali tylko na tekstach, które mieli okazję przeczytać w gazetach. W interesie króla leżało, żeby to zmienić.

## Białobrody wkracza do akcji

Efekt Breslau leżało na wschodnich peryferiach Cesarstwa Niemieckiego. Choć było prężnie rozwijającym się miastem, stolicą prowincji śląskiej, wciąż pozostawało na uboczu kraju. Niemcy z zachodnich księstw twierdzili nawet, że zasięg kultury

w państwie kończy się na Brandenburgii, a w Breslau nawet nie jest potrzebna wyższa szkoła techniczna. Sytuacja wyglądała zupełnie inaczej i prowincja śląska wymagała równego traktowania przez cesarza. Bardzo dobrze o tym wiedział Białobrody – Wilhelm I Hohenzollern.

Jego poprzednicy z pewnością odwiedzali peryferie państwa, jednak odbywało się to bez większych uroczystości, które stanowiłyby jakąś rozrywkę dla mieszczan.



Białobrody wniósł w te wydarzenia nowego ducha i zapoczątkował piękną tradycję w historii Wrocławia, którą kultywowano aż do wybuchu pierwszej wojny światowej. Nie było to jedyne miasto, w którym wizyty Kaisera miały tak uroczysty charakter, podobne wydarzenia odbywały się np. w Poznaniu, który w XIX wieku również był miastem na wschodnich peryferiach Niemiec.

Pierwsze Dni Cesarskie w Breslau, czyli po niemiecku Kaisertage, odbyły się w 1882 roku. Wilhelm I Hohenzollern odwiedził miasto na kilka dni, brał udział w paradach. Przy głównych arteriach poustawiano bramy triumfalne przystrojone kwiatami; najczęściej budowano je przy ulicy Świdnickiej na wysokości fosa. Jedną z głównych uroczystości była rekonstrukcja historyczna związana z wojną napoleońską w 1813 roku. Jako gości specjalnych zaproszono austriackiego arcyksięcia Rudolfa z małżonką Sophią.

Były to jednak pierwsze i ostatnie Dni Cesarskie z udziałem Białobrodego – cesarz zmarł w wieku 91 lat w 1888 roku. Rządy objął jego syn, Fryderyk III. Ten jednak zmarł nagle po 99 dniach rządów. Wówczas na tron Cesarstwa Niemieckiego wstąpił niespełna trzydziestoletni Wilhelm II, syn Fryderyka III, ostatni władca II Rzeszy. Z tego powodu rok 1888 w Niemczech nazywany jest rokiem trzech cesarzy. Młody władca wziął sobie do serca działania swojego dziadka i kontynuował tradycję Kaisertage. Uroczystości zaczęto organizować w całym państwie i były hucznie obchodzone – o Dniach Cesarskich pisano nawet w londyńskich gazetach.

Drugie Kaisertage odbyły się jeszcze we wrześniu tego samego roku. Z okazji wizyt Wilhelma II bito specjalne monety. Drogę przejazdu z Dworca Głównego do Pałacu Królów Pruskich udekorowano, a w miejscu jednej z bram triumfalnych kilka lat później stanął Hotel Monopol. Plac generała Tautentziena przystrojono wieńcami i girlandami, a sam pomnik dowódcy z czasów wojen śląskich udekorowano konstrukcją z baldachimem. Jednak dopiero kolejne Kaisertage zostały zorganizowane z ogromnym rozmachem.

### **Prosto z Sankt Petersburga**

W 1894 roku zmarł cesarz Rosji, Aleksander III Romanow. Jego syn, Mikołaj, objął rządy dopiero w 1896 roku, po upływie okresu żałoby. Młody car potrzebował nawiązania relacji z władcami sąsiednich państw i przemyślenia koncepcji stosunków dyplomatycznych. Na ten sam rok zaplanowano kolejne obchody Dni Cesarskich w Breslau. Propozycja przyjazdu do Niemiec na takie uroczystości była nie do odrzucenia, tym bardziej, że stolica prowincji śląskiej leżała dość blisko ówczesnej granicy z Rosją.

We wrześniu pociąg z parą carską zatrzymał się na Dworcu Głównym we Wrocławiu. Mikołaj II i Aleksandra Fiodorowna przejechali przez główne ulice miasta podczas parady wojskowej.



Pod Zatrzymali się przy Sejmie Krajowym, gdzie uroczystości zostały powitane. To właśnie w tym budynku przygotowano dla nich apartament, w którym gościli aż do zakończenia Kaisertage. Ludzie znacznie lepiej poznają się przy wspólnym stole. Być może dlatego para carska, Wilhelm II i Augusta Wiktoria, spotykali się przy wspólnych, rodzinnych śniadankach.

Jak zwykle urządzono wojskowe parady przy Dworcu Freiburskim (dzisiejszym Świebodzkim), w których uczestniczył pułk imienia Aleksandra II – dziadka Mikołaja II. Car odwiedził również wrocławski rynek, a z okazji odwiedzin wydawano specjalne pocztówki. Największą atrakcją okazało się odsłonięcie pomnika zaraz przy ulicy Świdnickiej. Wykonany z brązu monument dłuta Christiana Behrensa stanął w miejscu trzeciej bramy świdnickiej i przedstawiał Wilhelma I Hohenzollerna konno. Za postacią cesarza ustawiono jeszcze dwie mniejsze rzeźby, przedstawiające Sztukę Narodu oraz Sztukę Wojny. Całość miała sześć metrów wysokości. Breslauerki jeździec z brązu oglądał ulicę Świdnicką w tej samej pozycji aż do 1945 roku.

### Oddać hołd generałowi

Po raz kolejny Wilhelm II odwiedził Breslau dziesięć lat później, również we wrześniu. Udekorowaniem miasta zajęli się sam Karl Klimm, uczeń i pomocnik radcy budowlanego, Richarda Plueddemanna, jeden z czołowych breslauerkich architektów.

Nie obyło się bez tradycyjnego pochodu przez ulicę Świdnicką, a cesarz miał okazję odwiedzić pomnik swojego dziadka, któremu Breslau zawdzięczało tradycję Kaisertage. Uroczystości zdominowały pochody wojskowe wzdłuż ulicy Legnickiej, czyli Friedrich Wilhelm Strasse. Para cesarska odwiedziła gospodę na Ostatnim Groszu, zorganizowano specjalne manewry wojskowe. Odsłonięto również nowy pomnik, tym razem doczekał się go generał von Clausewitz, pruski teoretyk sztuki wojennej. Dowódca spod Waterloo zamieszkiwał w Breslau, gdzie zmarł podczas epidemii cholery w 1831 roku. Pomnik stanął przy alei Juliusza Słowackiego, a wieńce na nim składali nawet dowódcy armii japońskiej, którzy darzyli pruskiego generała ogromnym szacunkiem.

### „Do mojego ludu”

W 1813 roku nad Europą zawisły czarne chmury – mocarstwu groziła kolejna wojna napoleońska. Poprzednia, czyli ta z 1806 roku, zakończyła się kompromitacją Prus. Na Schlesien jedyną twierdzą, której nie zdobyły wojska francuskie, była Srebrna Góra. Reszta skapitulowała, to samo stało się z Breslau, któremu zabrakło generała Tauentziena XIX wieku. Wojska Hieronima Bonaparte upokorzyły miasto, wyburzając jego mury obronne.

Gdy sześć lat później po hańbiącej przegranej pojawiła się szansa na odegranie się na Francji,

Królestwo Prus zawarło sojusz z resztą państw Rzeszy Niemieckiej i Rosją. Fryderyk Wilhelm III, przebywający wtedy w Breslau, wygłosił przemówienie do swoich poddanych. Nawoływał do zjednoczenia w obliczu widma kolejnej wojny i obiecywał zwycięstwo, które wymaże z kart historii poprzednią klęskę. Odezwa szybko rozeszła się po Królestwie Prus za pośrednictwem gazet i została nazwana „An Mein Volk”, czyli „Do mojego ludu”. Czy przemówienie samego króla podziałało?

Francja wraz z pomocą innych państw została pokonana, armia pruska odniosła kilka sukcesów, a podczas kongresu wiedeńskiego królestwo otrzymało nowe terytoria. W tym przemówieniu musiało być coś ważnego i mobilizującego, skoro ostatnie Kaisertage w Breslau zostały zorganizowane z okazji setnej rocznicy wygłoszenia „An Mein Volk”.

### Max Berg vs budowlancy – kto wygra?

Uroczystości skupiły się tym razem na północnym wschodzie miasta, czyli na Szczytnikach. Prace nad przygotowaniem terenów wystawowych rozpoczęto już kilka lat wcześniej. Wysprzątno pobliski park, a dzięki pomysłowości księcia Hochberga założono Ogród Japoński. Jednak nie to miało być główną atrakcją.

Do akcji wkroczył Max Berg, nowy radca budowlany Breslau. Architekt wyprzedzał swoją epokę, jego projekty zupełnie odbiegały od pomysłów poprzednika, Richarda Plueddemanna. Ojciec Mostu Grunwaldzkiego był zadeklarowanym przeciwnikiem nowoczesnej architektury, kochał neogotyki. Berg natomiast uwielbiał modernizm i to właśnie jemu poświęcił swoją karierę.

Uroczystości Kaisertage miały być kluczem do sukcesu nowego radcy i dowodem na siłę modernizmu. Radca budowlany wykorzystał swoją sytuację najlepiej jak potrafił.





Dzięki pomysłowości, której mu nie brakowało, udało mu się wygrać konkurs na projekt głównej hali terenów wystawowych, mimo że jury miało wątpliwości, czy budynek projektu Berga nie zawali się. Żelbeton to jednak żelbeton – użył go również Plueddemann w projekcie swojego Mostu Cesarskiego, jednak stalowe liny to coś zupełnie innego niż hala z wielką, żelbetonową kopułą.

Gdy miało dojść do zdejmowania rusztowań, robotnicy odmówili współpracy. Nie chcieli mieć na sumieniu katastrofy budowlanej. Berg, jak zwykle pewny swego, zapłacił przypadkowemu przechodniowi za odkręcenie pierwszej śruby. Kiedy budowla się nie zawaliła, budowlańcy nie mieli wyjścia i musieli wrócić do pracy.

W ten sposób powstała Hala Stulecia, wybudowana specjalnie na obchody setnej rocznicy „An Mein Volk”.

Trudno ocenić reakcję pary cesarskiej na widok budynku, w którym zorganizowano Wystawę Stulecia. Na pewno było to coś, czego Wilhelm II i Augusta Wiktorja nie widzieli nigdy w życiu. Do dziś mówi się, że Hala Stulecia jest unikatem na skalę światową, co zostało przypieczętowane wpisaniem na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO.

Wystawa Stulecia zgromadziła zbiory z czasów wojen napoleońskich. W Hali projektu Berga można było oglądać mundury z epoki, a nawet pomniki generałów. Śmietanka towarzyska przechadzała się pod pergolą wokół wielkiej fontanny, wzdłuż parkowych alejek i oglądała wnętrza Pawilonu Czterech Kopuł Hansa Poelziga. W miejscu, gdzie jeszcze trzy lata temu stał lunapark, kwitło życie kulturalne Wrocławia. I tak jest do dzisiaj.

### Ucieczka przed końcem

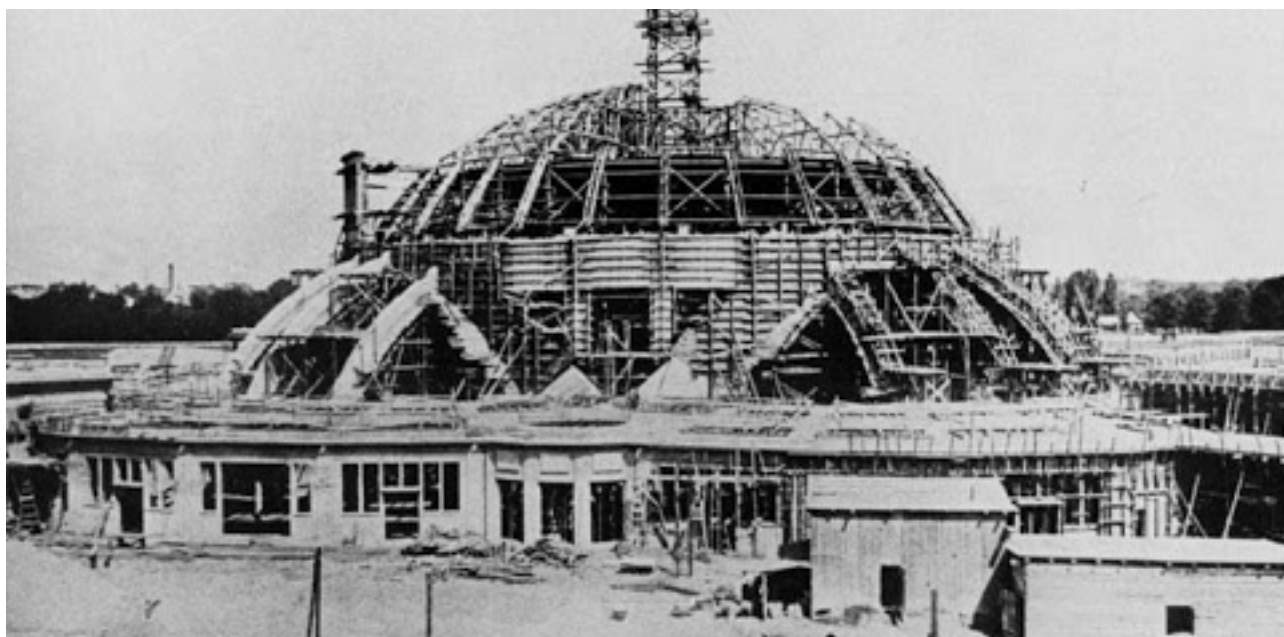
Wraz z parą cesarską w 1913 roku odjechała z Breslau tradycja Kaisertage. Dni Cesarskie już nig-

dy nie powróciły do miasta, mimo że świadectwa obecności Wilhelma II w Breslau były trwalsze niż rządy monarchii w Niemczech.

Jak się później okazało, setna rocznica „An Mein Volk” była dekadencją uroczystością. Świat wielkich balów, parad wojskowych i cesarza zakończył się już rok później, gdy napięcie między stronnictwami w Europie stało się zbyt duże. Bomba wybuchła, a wraz z nią I wojna światowa. W tragiczny sposób zakończyły się czasy dynastii Romanowów. Wilhelm II, aby uniknąć losu Mikołaja II i jego rodziny, wyemigrował razem z żoną i z dziećmi do Holandii. Weterani wojenni stracili do niego zaufanie i szacunek – ucieczkę byłego cesarza traktowali jako dezercję z pola bitwy, co było nie do przyjęcia. Do dziś zresztą ostatniego Hohenzollerna wspomina się jako władcę, który niemalże doprowadził do upadku państwa i wciągnął kraj w bezsensowną wojnę.

Wilhelm II nigdy więcej nie wrócił do ojczyzny, mimo że do końca życia wierzył w restaurację monarchii, nawet gdy Adolf Hitler przejął władzę. Ostatni cesarz niemiecki nie chciał, by jego pogrzeb został wykorzystany w celach propagandowych. Zmarł w 1940 roku i pochowano go w parku przy posiadłości, w której mieszkał z rodziną. Tak, jak sobie tego życzył, na jego nagrobku wyryto napis: *„Nie chwalcie mnie, gdyż nie potrzeba mi pochwał; nie wystawiajcie mnie, gdyż nie potrzeba mi sławy; nie sądzcie mnie, bo jestem sądzonym”*.

### MAŁGORZATA WIECZORKIEWICZ – 1 A



# Hymn dla królowej...

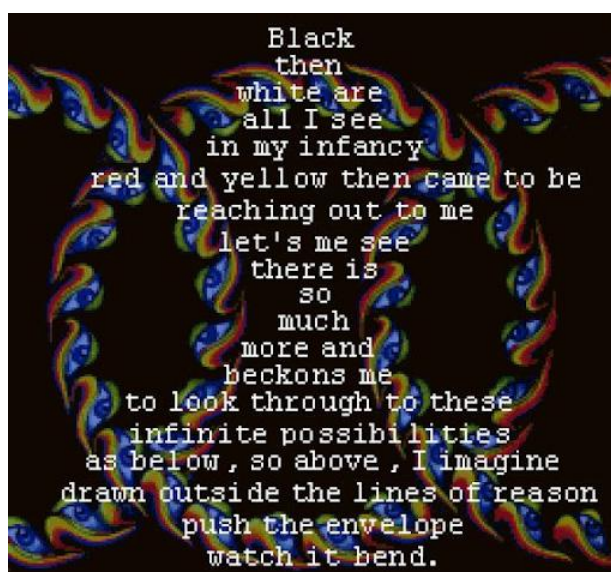
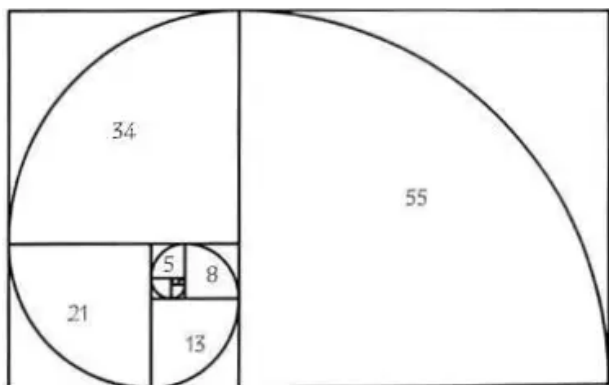
Inspiracje do pisania swoich utworów artyści biorą z najróżniejszych źródeł. Literatura. Historia. Legendy. Osobiste przeżycia. Jest jednak jeden utwór, który inspirację wziął z miejsca raczej niespodziewanego, a jednocześnie bardzo bliskiego naszej szkole. Mowa o królowej nauk we własnej osobie – matematyce. A konkretnie – o ciągu Fibonacciego. Ale po kolei.

## O kim i o czym mowa?

Autorem wspomnianego utworu jest amerykański zespół „Tool” wykonujący muzykę z pogranicza alternatywnego i progresywnego metalu. Sam utwór nazywa się „Lateralus” i pochodzi z albumu z 2001 r. o tej samej nazwie. Styl zespołu jest bardzo charakterystyczny, pełny zmieniających się metrum, ciężkich riffów gitarowych i genialnie skonstruowanych melodii. Zespół tworzy czterech członków – wokalista Maynard James Keenan, gitarzysta Adam Jones, perkusista Danny Carey oraz basista Justin Chancellor. Ich ostatni album „Fear Inoculum” wyszedł w zeszłym roku po 13 latach od poprzedniego, po czym przez długi czas trzymał się na szczycie listy przebojów, bijąc m. in. „Lover” Taylor Swift czy „Jesus is King” Kanye Westa.

## „Złoty ciąg”

Wracając do ciągu Fibonacciego, co to właściwie jest? To matematyczny ciąg, w którym każdy kolejny element jest sumą dwóch poprzednich (poza dwoma pierwszymi, które są jedykami). A więc ma on postać 1, 1, 2, 3, 5, 8, 13... i tak dalej. Można go przedstawić za pomocą tzw. spirali Fibonacciego. Jest ona bardzo, bardzo zbliżona do tzw. złotej spirali odzwierciedlającej złotą proporcję – słynne  $a/b = a+b/a$ . Słynne, ponieważ znajduje się wszędzie: we fraktalach, w ludzkiej twarzy, w przyrodzie – długo by wymieniać.



## A co to ma wspólnego z utworem?

aczniemy od prawie samego początku, czyli riffu wchodzącego po czystej sekcji. Jest on zapisany w metrum, które zmienia się z 9/8 w 8/8, a potem w 7/8. Okazuje się, że 987 jest szesnastym elementem wspomnianego ciągu. Jeśli wierzyć wywiadowi, to właśnie to było inspiracją dla zespołu, aby oprzeć o to cały utwór. Ale przejdźmy kawałek dalej. Wchodzi wokal. Okazuje się, że kolejne linijki tekstu odzwierciedlają kolejne liczby ciągu Fibonacciego: 1 sylaba, 1 sylaba, 2 sylaby, 3 sylaby – aż do 13, kiedy Maynard „zawraca” do 8, 5 i 3. Następnie wchodzi w prechorus, gdy z powrotem skacze do 13 sylab i ponownie idzie w dół aż do 3. W kolejnej zwrotce ma miejsce zmiana – po powtórzonym motywie z pierwszej zwrotki dołożona jest druga część napisana w ten sam sposób, tylko z dodaną na początku dwusylabową frazą. Zlewa się to z 3-sylabową końcówką pierwszej części, przez co tekst idzie ciągle od 13 do 1 i z powrotem. Wydaje się, jakby Maynard „huśtał się” na spirali Fibonacciego.

## Zanim przejdziemy dalej...

... jeszcze kilka niesamowitych szczegółów. Gdyby zapisać złotą proporcję jako jedną liczbę, ułamek dziesiętny, byłoby to ok. 1,618. Jeżeli spojrzymy na moment, w którym w utworze wchodzi wokale, jest to 1:37. Jeżeli przekształcimy to w ułamek, otrzymujemy... ok. 1,617 minuty. Jeśli przesuniemy dwukropkę o jedno miejsce w prawo, otrzymamy 13:7 – okazuje się, że 13 jest siódmym elementem ciągu. A to nie wszystko, ponieważ od początku pierwszej zwrotki do początku refrenu mija 55 sekund – kto by pomyślał, że 55 również należy do ciągu Fibonacciego! To wszystko wydaje się wręcz niemożliwe do zaplanowania i wykonania, a jednocześnie zbyt dokładne, aby było przypadkowe. A to nie jest koniec niespodzianek, bo kolejne czekają w słowach wypowiedzianych przez Maynarda.

## Nie nadinterpretować, nie anali... co?

Sam tytuł utworu, „Lateralus”, wziął się od tzw. myślenia lateralnego – koncepcji spojrzenia na świat z boku, z innej perspektywy i szukania rozwiązań problemów w miejscach, o których nigdy byśmy nie pomyśleli – znajdowania połączeń niewidocznych na pierwszy rzut oka. Cóż, jak na razie widać, że członkowie zespołu chyba lubią skłaniać innych ludzi do takich działań. Obrazuje to też okładka albumu – głowa ukazana z profilu, z boku. Kolory wymienione w zwrotkach odgrywają ważną rolę w aborygeńskiej historii stworzenia – tym Maynard miał się inspirować, jeśli wierzyć wywiadam. Są one także obecne w alchemii, w procesie tworzenia kamienia filozoficznego. W kolejnych liniach wokalista stawia się w roli tego, który widzi więcej niż inni i dzięki temu ma przed sobą „nieskończone możliwości”. Jednak w refrenie w pewnym sensie zaprzecza samemu sobie – twierdzi że zbyt

myślenie i analizowanie ogranicza go. Maynard odrzuca to, co dał mu jego „wzrok”, przenikający wszechświat na wylot. Zamiast tego, o czym dowiadujemy się w bridge’u, zamiast starać się zbyt „przejrzeć” otaczający go świat, chce płynąć z jego prądem, połączyć się z naturą, „huścić się na spirali” (swing on a spiral). Ciągłe powtarza, że właśnie kierowanie się tropem „spirali” – natury, wszechświata – pozwoli mu uwolnić swój umysł i kreatywność – dzięki temu może „dotrzeć tam, gdzie nikt inny nie był”.

## Ale...

Ja mogę jeszcze pisać długo. Jednak żaden tekst o tym utworze nie będzie się równał po prostu puszczeniu sobie go w domu, w ciszy, i zanalizowaniu go sobie samemu... albo nie. Można równie dobrze odłożyć analizę na bok i skupić się na muzyce, bo „Lateralus” to po prostu świetnie napisany, skomponowany i nagrany utwór. Zresztą cały album, a także pozostały dorobek „Tool” to coś, do czego często z przyjemnością wracam. Więc każdemu, kto poświęcił kilka minut na przeczytanie tego artykułu mówię – załóż słuchawki, połóż się i posłuchaj. Nie pożalujesz.

I jeszcze jedno. Większość użytych informacji pochodzi z filmu „How Tool used Maths to create Lateralus” opublikowanego na kanale Polyphonic. Serdecznie polecam obejrzeć go, a także inne filmy na tym kanale, ponieważ można się z nich dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy.

**BARTOSZ KACZMAREK – 1 A**



# Raper czy youtuber?

Powiedzmy sobie szczerze, czy jest wśród nas ktoś, kto nie przegląda Facebooka, Instagrama czy Youtuba przynajmniej kilka razy dziennie? Prawdopodobnie nie, ale nie niesie to ze sobą samych minusów, jak niektórzy mogą twierdzić. W internecie kryje się mnóstwo ciekawych i pięknych rzeczy z najróżniejszych dziedzin, a także wielu ludzi chcących się nimi podzielić z całym światem. I właśnie temat tych ostatnich chciałbym dzisiaj poruszyć. A jako że piszę o muzyce, to zajmę się nikim innym, jak niektórymi członkami muzycznej społeczności, często niedocenianymi lub nierozpoznanymi, ale wnoszącymi do niej bardzo wiele.

## Ichika Nito

Nie byłbym sobą, gdybym nie zaczął od instrumentu najbliższego mojemu sercu, czyli gitary. A Ichika jest moim zdaniem jednym z najbardziej kreatywnych i utalentowanych gitarzystów na Youtube. Najbardziej popularny jest ze swoich krótkich utworów z gatunku lo-fi hip hop granych w różnych strojeniach wymyślanych przez jego widzów. Jest również znany z bardzo częstego i niezwykle efektownego używania techniki zwanej „tappingiem”, czyli graniem obiema rękami na gryfie. Obecnie jego kanał na Youtube ma prawie 400 tys. subskrypcji, co wydaje mi się zdecydowanie zbyt mało przy jego niesamowitym talencie. A dla zainteresowanych, inni internetowi gitarzyści godni polecenia to m. in. Mateus Asato, Jared Dines, Stevie T, Paul Davids i Music is Win.

## Davie504

Internetowych basistów jest zapewne nieporównywalnie mniej od gitarzystów. A jeszcze mniej jest tych, którzy zdołali się wspiąć na tak wysoki szczebel, jak właśnie Davie, Włoch, którego kanał obecnie ma ponad 6 mln subskrypcji i bynajmniej nie zwalnia tempa. Zaczynający jako milczący, wręcz tajemniczy basista grający głównie coraz

to bardziej kreatywne covery znanych utworów, np. „Under the Bridge” pod mostem czy „Master of Puppets” z pacynkami założonymi na palce, powoli zyskiwał coraz większą publikę. Publikował także coraz to dziwniejsze filmy o „basowej” tematyce – chociażby wciąż najpopularniejszy na jego kanale film, w którym gra na 24-strunowym (!) instrumencie. Dziś jego kanał jest nastawiony w głównym stopniu na rozrywkę (a przede wszystkim memy). Nie utracił jednak swojego uroku sprzed lat i wciąż w większości filmów możemy cieszyć oczy i uszy niesamowitymi umiejętnościami Daviego w grze na basie. Nie jest on oczywiście jedynym świetnym basistą w internecie – do takich należą także m. in. Adam Neely czy Charles Berthoud.

## COOP3RDRUMM3R

Nie będę ukrywał – perkusistą nie jestem (choć chciałbym), więc moja wiedza na temat tego instrumentu, a także jego społeczności nie jest rozległa. Faktem jest jednak, że po prostu uwielbiam oglądać spektakularne wyczyny bębniarzy, a wyżej wymieniony Cooper jest jednym z tych, po których sięgam najczęściej. Jego kanał ma obecnie prawie 2,5 mln subskrypcji, więc należy do grupy najpopularniejszych tego typu.



Kiedyś jego znakiem rozpoznawczym był pokój do nagrywania cały oklejony mnóstwem plakatów. Dziś ma pod domem gigantyczne studio, którego „zwiedzanie” w dedykowanym filmie jest rajem dla każdego zainteresowanego muzyką oraz technologiami z nią związanymi. Oprócz publikowania niesamowitych coverów (np. „Burn” zagrane płonącymi pałkami) na jego kanale znaleźć można wiele filmów na temat sprzętu i nauki gry, przez co jest świetnym kanałem dla kogoś dopiero zaczynającym swoją przygodę z perkusją. Oczywiście nie jest jedynym w tej społeczności – warci zobaczenia są chociażby Matt McGuire, Luke Holland czy Mini Fairhurst.

### Ten Second Songs

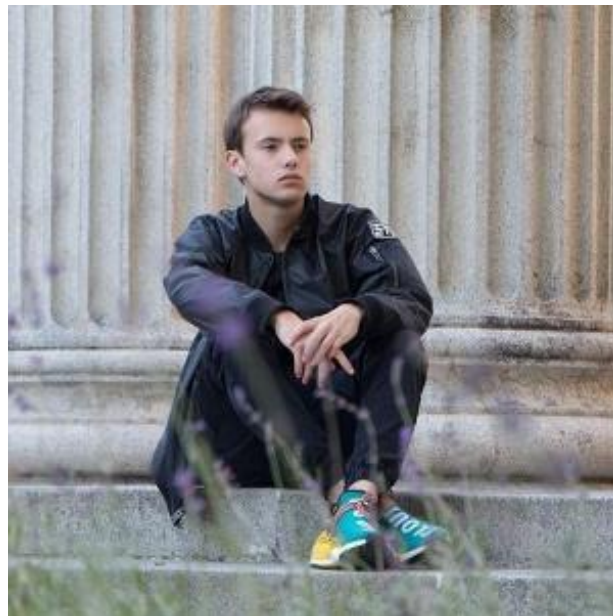
Wokalistów w internecie jest wielu. Prawdopodobnie niewiele mniej niż basistów i perkusistów razem wziętych. Dlatego dobrym wokalistom bardzo trudno jest wybić się i zyskać popularność, przez co, aby stanąć na „piedestale”, trzeba być naprawdę, naprawdę dobrym (i mieć farta). Udało się to Anthonemu Vincentowi z kanału Ten Second Songs, który jest bez wątpienia moim ulubionym internetowym wokalistą. Zasłynął dzięki swoim filmom, w których przedstawia znane utwory w stylu wielu różnych wykonawców – od ABBY po Rammsteina. Jego skala głosu jest bardzo szeroka, a sam głos naprawdę potężny, co ukazuje przede wszystkim w wyzwaniach stawianych mu przez widzów. Do innych genialnych internetowych wokalistów należą m. in. Ken Tamplin, Chris Liepe, Andy Cizek oraz Roomie.



### Quadeca

Aby uhonorować ten często niedoceniany gatunek, jakim jest hip-hop, w ostatnim punkcie chciałbym przedstawić właśnie tego „Youtube rapera”, który jest w mojej opinii jednym z najlepszych

w tej społeczności, zarówno technicznie jak i lirycznie. Zaczynał od imitacji stylów różnych znanych raperów, co przynosiło mu coraz większy rozgłos.



Obecnie wydaje własne utwory, a w zeszłym roku wyszedł jego trzeci w sumie album pt. „Voice Memos”, który zebrał wiele pozytywnych recenzji. Jego flow jest praktycznie zawsze po prostu niezmiernie, zarówno kiedy nawija wolno, oldschoolowo, jak i kiedy wypływa z siebie kolejne wersy niczym karabin maszynowy. Jest również niesamowicie utalentowany w pisaniu tekstów, co ukazało się szczególnie w jego beefie z innym raperem, KSI. Na dodatek wszystkie swoje utwory produkuje sam we własnym domu, bez pomocy innych producentów, co jeszcze dobitniej pokazuje jego muzyczny talent. Każdemu fanowi hip-hopu polecam sprawdzić także innych – takich jak Crypt, Moxas, VI Seconds i Mac Lethal.

### BARTOSZ KACZMAREK – 1 A

# Co ma głupi do sera?

Siedzisz właśnie nad podręcznikiem od historii, trzymając zeszyt od fizyki w jednej ręce i połowicznie uzupełnione sprawozdanie z laboratorium w drugiej, przy okazji zezując na ekran komputera, na którym właśnie wyświetla się nowa wiadomość na Librusie.

Dzień, jak co dzień - terminy gonią, czasu jest podejrzanie mało, jakby sam dzień chciał Ci zrobić na złość i skrócić się o kilka godzin, a Ty nie możesz się skupić. Myślamy jesteś zupełnie gdzie indziej. Co tam nauka, kiedy Ciebie od kilku dni dręczy tylko jedno...dlaczego „śmieć się jak głupi do sera”?

## SĄ GUSTA I GUŚCIKI...

Mówi się, że o gustach się nie dyskutuje (co Piłsudski swego czasu ujął w nieco mniej zgrabnych, acz dosadniejszych słowach) i oczywistym jest, że każdy ma inne poczucie humoru, a głupiego może bawić ser i nikt z nas nic na to nie poradzi, choćby chciał. Jakkolwiek specyficznie by to nie zabrzmiało, od dłuższego czasu zastanawia mnie jednak geniza powstania tego przysłowia. Trudno chyba nie zgodzić się, że sytuacja, w której te słowa byłyby naturalną reakcją, musiałaby być co najmniej groteskowa! A jeszcze ciekawszy jest fakt, że powiedzenie się utarło i obecnie używane jest na co dzień, bez większej refleksji z naszej strony. Może najwyższy czas bliżej przyjrzeć się tej sprawie?

## TAK DLA JASNOŚCI, CO TO ZNACZY?

Spokojnie, nie chodzi tu o żadne dawanie tajnych znaków czy szykany skierowane do przetworu mlecznego. Wyrażenie to oznacza śmianie się bez sensu - głupkowaty, irytujący rechot, którego prędko ma się dosyć. Niestety, przy okazji cierpi na tym reputacja biednego sera...

## JAK JESZCZE MOŻNA SIĘ ŚMIAĆ?

Okazuje się, że to powiedzenie nie jest żadnym indywidualum, gdyż istnieje wiele podobnych, a żadne z nich zdaje się nie mieć większego sensu (może jednak warto wrócić do bezpiecznego podręcznika z fizyki?). W wystarczająco wesołym gronie, możemy trafić na kogoś zrywającego boki ze śmiechu, pękającego ze śmiechu, śmiejącego się do rozpuku czy nawet (mój osobisty faworyt) śmiejącego się jak Filip na jelito. Tak więc, jeżeli już sama fraza o serze Cię zbulwersowała, może najwyższy czas zamienić słowo z Filipem, o ile tylko uda mu się wyrwać z Konopi...

## TO CO W KOŃCU Z TYM SEREM?

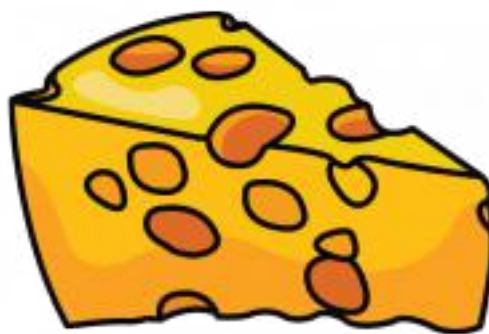
Nikt nie jest w stanie jednoznacznie stwierdzić, skąd wzięło się ów ciekawy zwroć, zaint-

eresowały mnie jednak dwie teorie. Pierwsza z nich dotyczy substancji, jaka powstaje z występującej w serze kazeiny podczas trawienia przysmaku - kazo-morfiny, która zaliczana jest, obok heroiny i morfiny, do opiatów i może powodować uzależnienie. Nic więc dziwnego, że człowiekowi od razu robi się tak wesoło na widok sera... Druga hipoteza należy do Profesora Jana Miodka, który stwierdził, iż sens powiedzenia ma podłoże w ludowym postrzeganiu świata. Zasugerował on, iż wzięło się ono z faktu, że gospodarze niespecjalnie cenią swoje produkty i trudno jest im uwierzyć, że niejeden człowiek z miasta jest gotów sownie zapłacić za naturalny, świeży ser i przetwór sprawia mu aż taką radość oraz wywołuje uśmiech na jego twarzy.

## SŁOWEM POŻEGNANIA

To fascynujące, ile nietypowych historii może kryć za sobą niepozorny, utarty zwrot o nietypowym brzmieniu! Przekazałam co ciekawsze z możliwych wyjaśnień, ale dosyć o tym - grunt, że śmiech to zdrowie i warto sobie o tym przypomnieć, gdy nagle zdasz sobie sprawę, że pomimo ciężkiej pracy przez cały wieczór, zapomniałeś wziąć ukończonego sprawozdania do szkoły. Cóż innego Ci wtedy pozostaje?

EMILIA RYMKIEWICZ – 1 A



# York, dodo... i co jeszcze?

Nie może być, ta chwila w końcu nadeszła! Przed Tobą ważny egzamin, od którego zależy ocena końcowa, Twoja przyszłość, a nawet losy świata! (a przynajmniej zawsze takie ma się wrażenie).

To chyba jasne, że ostatnią noc możesz zaliczyć do swojej bogatej kolekcji nieprzespanych, a ten cudowny dzień witasz

kilkoma filiżankami kawy, by się dobudzić i nie przestraszyć ludzi w tramwaju. Czy jednak faktycznie jest to dobra taktyka?

## **BYŁO KIEDYŚ DWÓCH TAKICH...**

Nie, to nie ci, co ukradli Księżyc, ale nie jest to bynajmniej powód do rozczarowania! Yerkes i Dodson, jak wszyscy szanujący się naukowcy, postanowili przeprowadzić badanie na myszach. Wkładali biedne gryzonie do drewnianej skrzynki, w której miały możliwość przejścia do dwóch komór - białej i czerwonej. Jeżeli wybrały białą, mogły swobodnie ruszyć w dalszą drogę na podbój świata, jeżeli czerwoną - były rażone prądem. Liczba prób, której można było poddać każdą mysz, była ograniczona, ale to i tak nie miało wpływu na przebieg badania, gdyż sprytne zwierzątka prędko orientowały się w czym rzecz, a że nie miały ambicji zostać zgrillowanymi, wybierały odpowiednią komorę i grały naukowcom na nosie.

## **ZBYT PIĘKNE, BY BYŁO PRAWDZIWE?**

Gdy myszy bezbłędnie przeszły pierwszy test, zadanie postanowiono utrudniać im w myśl tego, że to, co wartościowe, musi zostać okupione bólem - zwiększano napięcie, którym charakteryzował się niepoprawny wybór, przyciemniano skrzynkę, by trudniej było dostrzec odpowiedni kolor, a nawet posunięto się do zmienienia czerwonej barwy na szarą, by różnica aż tak bardzo nie rzucała się w oczy i łatwiej było wpaść w sidła imitacji pioruna. Badacze ustalili, że myszy uczyły się szybciej, gdy zadanie było w pierwotnej fazie (łatwiejsze), a i siła bodźca elektrycznego miała na nie wpływ. Stwierdzili, że nic więcej nie jest im już do szczęścia potrzebne i nareszcie oswobodzili swoje obiekty badań.

## **MYSZY MYSZAMI, ALE PO CO MI TO?**

Po wielu latach, na podstawie eksperymentu przeprowadzonego przez Yerkesa i Dodsona, powstało prawo nazwane od ich nazwisk. Wysznu-

wnioski, że jego działanie w równym stopniu dotyczy ludzi i wykonywanych przez nich zadań. Wprawdzie na człowieku nie pozwolono nikomu przeprowadzić podobnych badań (miejmy nadzieję, że nie ku rozczarowaniu naukowców), ale uważnie obserwowano jego reakcje w różnych sytuacjach stresogennych i na ich podstawie stwierdzono podobieństwo do dzielnych pudełkowych łowców przygód. Jeżeli zadanie jest proste, im większe pobudzenie wywołane stresem (czy też ekscytacją, jeżeli tak wolisz), tym lepiej. Jednak od pewnego momentu, efektywność rozwiązywania problemów zaczyna spadać, zwłaszcza jeżeli pos awione przed nami oczekiwania przestają być banalne, ale zaczynają się komplikować. Stąd wniosek, że dla zadań trudnych optymalny poziom pobudzenia jest niższy niż dla ich prostszych wersji. Jeżeli stoi przed nami jakieś wyzwanie, które jest w naszym mniemaniu bardzo istotne, a nie jesteśmy w stanie stawić mu czoła z palcem w nosie, to jesteśmy zestresowani już sami z siebie i dodatkowy czynnik pobudzający w postaci kofeiny, publiki czy obsesyjnego myślenia o problemie, może nam jedynie zaszkodzić, choć w przypadku łatwiejszego zadania byłby wręcz pomocny i orzeźwiający.

Pamiętajmy, że te biedne myszy nie cierpiały po to, żebyśmy teraz wszyscy wspólnie zmówili się, by zignorować wyniki badań i, w najlepsze, robili im na przekór...To co, może jednak warto odstawić tę kawę przed egzaminem?

**EMILIA RYNKIEWICZ - 1 A**



**„POLITECHNIK JUNIOR”  
PERIODYK AKADEMICKIEGO LICEUM  
POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ**

**Redaktor naczelny:** Kacper Kowalski.

**Zastępca red. naczelnego:** Maksymilian Skica,  
Małgorzata Wieczorkiewicz.

**Sekcja filmowa:** Maciej Proćków, Mateusz Torski.

**Technicy komputerowi:** Michał Jagodziński,  
Kamil Janowski.

**Opiekun pisma:** Wojciech Walczak.